

Jilava

Kiedy ciężarówka nagle zaczęła zjeżdżać w dół i podskoczyła na czymś, wszystkie kobiety zapiszczały. Zgasło światło. Rozległ się głuchy szcęk metalu. Zatrzymałyśmy się i zaniepokojone czekałyśmy w milczeniu na rozkazy.

— Ściągać gogle!

Znajdowałyśmy się w dużym podziemnym pomieszczeniu bez okien. Ściany błyszczące od wilgoci. Śliskie kamienne podłogi. Strażniczki w mundurach kłębiące się wokół nas. Przysadzista, umięśniona postać z rudymi włosami kiwnęła palcem i ostrzegła:

— Nazywam się sierżant Aspra¹, surowa z imienia i surowa z natury. Nie zapomnijcie o tym.

Usiadła za stołem na kozłach razem z koleżanką, równie atrakcyjną jak ona. Urzędniczka wpisywała nazwiska do rejestru.

— Wszystkie zbędne ubrania — obwieściła wrzeszcząca Aspra — należy złożyć do depozytu przy przyjęciu do tej placówki. Więc wyskakujcie z ubrań.

Zabrały mój letni płaszcz, ale zostawiły cienką sukienkę i rajtuzy, teraz już całe w dziurach. Sporządzono inwentarz. Po kilku godzinach przemierzałyśmy długie korytarze o półkolistym sklepieniu. Odór zgnilizny wisiał w wilgotnym powietrzu. Za żelaznymi kratami stali wartownicy w furazerkach w kolorze khaki.

Jilava nie była mi całkowicie obca. Był to fort zbudowany w dziewiętnastym wieku. Cele były umieszczone głęboko pod ziemią. Kiedy rozpoczęły się masowe aresztowania, przyjechałam tutaj z dziewczyną, która myślała, że jej przyjaciel jest wśród więźniów. Przejechali palcem po rejestrze i powiedzieli, że nie ma po nim ani śladu.

¹ Aspra — w języku rumuńskim znaczy „surowa”.

Tę samą dwunastokilometrową podróż z Bukaresztu odbyłam ponownie, kiedy zniknął Richard. Wypełniłam obszerne formularze i czekałam wiele godzin, aby usłyszeć, że nic o nim nie wiedzą.

Wcześniej w centrum przesłuchań przez jakiś czas przebywały z nami w tej samej celi dwie piętnastoletnie dziewczyny, które wstąpiły do tajnego ugrupowania patriotycznego.

— Niech Bóg ma was w swojej opiece, jeśli kiedykolwiek miałybyście się dowiedzieć, jak jest w Jilavie w celi numer 4 — powiedziała szeptem starsza z nich.

Sierżant Aspra otworzyła kluczem ciężkie drzwi, zamykane żelaznymi sztabami.

— Ta do celi 4-tej!

Było już blisko południa, a w celi było prawie całkiem ciemno. Słaba żarówka zwisała z sufitu. Po obydwu stronach wysokiego pomieszczenia o półkolistym sklepieniu były ustawione dwa długie rzędy drewnianych łóżek piętrowych. Pomiedzy nimi było wąskie przejście. Na samym końcu było małe okno, zamalowane i okratowane.

Dziesiątki oczu wpatrywało się we mnie.

— Nazywam się Viorica, jestem szefową twojej celi — powiedział jakiś głos.

Ktoś pomachał ręką.

— Dajcie jej miejsce na końcu.

W najciemniejszym kącie celi obok otwartego ścieku stało wiadro pełniące rolę sedesu. Moje łóżko znajdowało się bezpośrednio nad nim. Z tego wiadra korzystało pięćdziesiąt kobiet, z których większość miała kłopoty żołądkowe spowodowane przez obrzydliwe posiłki.

Na górnej pryczy było okropnie duszno i gorąco. Spocone kobiety leżały na wpół rozebrane. Gdziekolwiek by nie spojrzeć widziało się wychudzone ramiona i krzywe nogi, zapadnięte klatki piersiowe i sińce. Przypominało to średniowieczną kostnicę.

Na niektórych ciałach widać było ślady i blizny po torturach.

Kobiety leżały także na betonie blisko drzwi w nadziei, że uda im się zaczerpnąć nieco powietrza.

— Zupełnie zgłupiały — powiedziała jakaś dziewczyna blisko mnie. — Wilgoć z podłogi jest o wiele bardziej szkodliwa.

Jilava to rumuńskie słowo, które znaczy „wilgoć”. Fort był otoczony fosą. Z czegoś, co wyglądało na małą szubienicę, zwisał

kawałek szyny kolejowej. Wstawaliśmy, kiedy o piątej rano uderzano w nią żelaznym prętem. Do wiadra ustawiała się kolejka. Celę wypełniał gwar rozmów. Menażki dźwięczały, gdy wlewano do nich wodę do mycia.

W pierwszy poranek w Jilavie usłyszałam jakiś śpiew.

— To znowu te zakonnice!

Serce mi zadrżało.

— Zakonnice, tutaj w Jilavie? — zapytałam.

— Tak, jeśli Aspra usłyszysz, że kolędują, znowu zwiąże im ręce na plecach. Ostatnim razem zrobiła to na trzy godziny.

Błada, może osiemnastoletnia dziewczyna przestała przeżuwać skórkę od chleba i powiedziała:

— To jeszcze nic! W moim ostatnim więzieniu w Mislei związali kobiety religijne i zakładali im na głowy maski przeciwgazowe. To było okropne!

W przyległych celach przetrzymywano inne zakonnice. Ściany miały prawie cztery metry grubości. Choć było to bardzo ryzykowne, kobiety mogły jednak porozumiewać się ze sobą, przykładając blaszany kubek do kamiennych ścian i nasłuchując stukania. Dźwięk był w ten sposób wzmocniony i wyraźnie słyszalny. Ale trzeba było nieustannie uważać na strażniczki, które zaglądały przez wizjer.

Wiadomości były przekazywane swego rodzaju więziennym alfabetem Morse'a. Dowiedziałyśmy się, że w czterech celach w naszym skrzydle przebywa dwieście kobiet. A około trzech tysięcy mężczyzn gdzie indziej. A to wszystko w fortecy przeznaczonej dla sześciuset osób!

Człowiek, który idzie do więzienia, dowiaduje się, co to znaczy być na tej ziemi i nie mieć nic do roboty. Nie ma prania, szycia ani żadnej innej pracy. Kobiety z tęsknotą mówiły o gotowaniu lub sprzątanii. Jakże by chciały upiec ciasto dla swoich dzieci, a potem chodzić po domu ze ścierką do kurzu, umyć okna i pościierać stoły. Nie było niczego, na co mogłybyśmy choćby popatrzeć. Czas nie upływał. Stał w miejscu.

— Gdy pomyślę, jak narzekałam, że jestem przepracowana... — powiedziała moja sąsiadka. — Byłam chyba szalona.

Kiedy dzieci opuszczają dom, matka zaczyna rozumieć, jaką radością była praca dla nich i jak straszne jest to, że nie ma się nic do zrobienia.

O jedenastej ustawiałyśmy się w kolejce po zupę. Każda kobieta dostawała kromkę czarnego chleba. Uspokojone myślą o zbliżającym się posiłku cierpliwie czekały.

Gdy tylko parujący gar opuścił celę, wybuchały kłótnie. Kobiety kłóciły się o kawałek chleba, który ich zdaniem był większy od tego, który dostały. Zawsze zaczynało się to w ten sam sposób:

— Ty dziwko, wiesz, że dzisiaj ja miałam być pierwsza.

Obrzucały się wzajemnie wyzwiskami. Cela huczała od okropnych wrzasków.

Tym razem drzwi otwały się z hukiem. Weszły strażniczki, uderzając na osłep kijami. Aspra ryknęła:

— Jesteśmy dla was za dobrzy, wy ... Jeśli to się nie skończy, to jutro będziecie głodować!

Rozlana zupa utworzyła kałuże na podłodze. Z ciemnych pryczy dochodził szloch. Kiedy strażniczki wyszły, zatrzaszkując drzwi, ponownie zapanowała wrzawa. Pięćdziesiąt kobiet przekrzykiwało się, domagając się swego, dopóki Aspra znowu nie weszła, obwieszczając wszem i wobec:

— Nie będzie więcej jedzenia — ani dzisiaj, ani jutro!

Gdy tylko strażniczki wyszły, kobiety zaczęły się nawzajem oskarżać, cedząc słowa przez zęby i mruczając pod nosem. Dziewczyna obok mnie dotknęła mojego ramienia.

— Biedaczko, nic nie zjadłaś.

— Nic nie szkodzi, nie było to zbyt apetyczne.

— To zgniłe marchewki. Państwowa fabryka przetwórstwa warzyw wyrzuciła ich tutaj trzysta ton. Nikt nie chciał ich kupić nawet dla świń. A my jemy je od tygodni. Spójrz — moja skóra jest całkiem żółta. Nazywamy to „marchwica”!

Powiedziała, że ma na imię Elena.

Tęga, władcza kobieta spojrzała na mnie badawczo.

— A ty kim jesteś? Dlaczego tu jesteś? — domagała się odpowiedzi. — Nie powiedziałaś ani słowa, odkąd tu się znalazłaś.

Powiedziałam im, jak się nazywam i że jestem żoną pastora.

— Religijna, hm? Znasz jakieś historie biblijne? — zapytała siwowłosa kobieta ze wsi.

— Tak, opowiedz nam coś — dało się słyszeć kolejne głosy. — Tutaj jest tak nudno.

Ale ta władcza kobieta o męskiej posturze stała się jeszcze bardziej wrogo nastawiona.

— Zamienisz to miejsce w plebanię — rzuciła.

I odeszła, kipiąc ze złości.

— Nie przejmuj się Elsą Gavrioliu — powiedziała Elena. — To stara członkini partii. Jest niezmiernie wdzięczna, że dano jej szansę studiowania jej błędów ideologicznych w instytucie reedukacyjnym Jilava!

Pozostałe kobiety roześmiały się i na chwilę doznały ulgi, zanim przypomniały sobie, że przez najbliższe trzydzieści sześć godzin nie będzie jedzenia.

Aby dodać im otuchy, opowiedziałam historię o Józefie i jego braciach, która ukazuje, jak bieg życia może się odmienić nawet wówczas, gdy wszystko wygląda zupełnie beznadziejnie. Ich twarze pałały zainteresowaniem. Wyjaśniłam im więc znaczenie tej bogatej w treści historii:

— Pamiętacie, że ojciec Józefa dał mu wzorzystą szatę. Były w niej zarówno ciemne, jak i jasne nici. I jedne i drugie są częścią życia. Chociaż jego zazdrośni bracia sprzedali go jako niewolnika, został zarządcą wielkiego domu w Egipcie. Po czym koło fortuny zatoczyło się ponownie i został wrzucony do więzienia. A jednak później ustanowiono go władcą całego Egiptu i ocalił kraj przed głodem. Kiedy jego bracia przybyli do niego w poszukiwaniu zboża, nie poznali go i bali się, że ten wielki pan Egiptu może zabrać im ich osły. Tak często jest z nami. Martwimy się o drobiazgi i tracimy z pola widzenia głębokie znaczenie, które może być w nich ukryte. Niektóre smutki są wielkie tylko dlatego, że patrzymy na nie z zawężonej ludzkiej perspektywy. Nie widzimy końca. Józef został w końcu premierem Egiptu i wybawicielem braci, którzy go sprzedali.

Garstka kobiet słuchała, a reszta huczała i skrzeczała jak w ptaszarni.

Spotkałam spojrzenie rudej Viorici.

— Bądź ostrożna — szepnęła staruszka ze wsi. — Jeśli Aspra usłyszy, że mówisz tutaj o Bogu, to będą kłopoty.

Następnego poranka Viorica pojawiła się w przejściu między łózkami.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała, wskazując na mnie palcem. — Głowiłam się całymi godzinami. Ale teraz wiem.

Myślałam, że usłyszała o moim krótkim kazaniu i chciała wymierzyć sprawiedliwość.

— Wiedziałam, że skądś znam twoje nazwisko. Głowiłam się, gdzie ja słyszałam to nazwisko...

Inne kobiety wpatrywały się we mnie. Siedziałam na górnej pryczy jakbym była na jakiejś imprezie towarzyskiej.

— Tak — powiedziała triumfująco Viorica z włosami jak strąki — Ona jest kaznodziejką. Żoną pastora Wurmbranda!

Szefowa celi z dumą wyjaśniała, że jej wujek był przełożonym cerkwi prawosławnej w Bukareszcie. Słyszał przemówienie Richarda na Kongresie Religii.

— Jedyiny spośród czterech tysięcy, który wstał i przemówił jak mąż Boży, podczas gdy wszyscy inni wiwatowali na cześć komunistów — powiedziała Viorica.

— Czy wiecie, że potem wylali ministra do spraw religii?
Zwróciła się do mnie.

— Byłam w waszym kościele. Nabożeństwo było uroczne.

Stałam się więc bohaterką dnia. Zeszłam z mojej czyścicowej grzędę nad wiadrem. Viorica znalazła mi lepsze łóżko oddalone o jakieś trzy metry, które właśnie zostało zwolnione. Tamże złożyła mi wizytę państwową.

— Bycie szefową celi to nie żarty — powiedziała. — Jeszcze jeden taki dzień jak wczoraj i zwariuję.

Viorica miała ogromną władzę. Rekomendowała sierżant Asprze, kto powinien wykonywać upragnioną pracę w pralni. Jakże pokornie kobiety błagały o to, aby pozwolono im pracć brudną bielizną strażników! Była to ciężka praca, ale bez porównania lepsza od siedzenia w ciemności i zaduchu celi numer 4 i nie robienia niczego.

Dostałam moją pierwszą porcję *terczu* — kukurydzy gotowanej w wodzie — i rozglądałam się za czymś, czym mogłabym to zjeść.

— Ona chce łyżki! — drwiła pani Gavrioiu. — Wychłęptaj to!

Próbowałam jeść ten wodnisty, śmierdzący kleik z płytkiego blaszanego naczynia. Ale ściekał mi po brodzie. Chłęptanie wydawało mi się zbyt zwierzęce, więc odstawiłam mój poranny *tercz*.

Nagle pojawiła się zbawienna myśl. Dlaczego nie miałabym upokorzyć się? Nasz Pan zrobił to aż do końca. Przypomniał mi się bohater biblijny Gedeon, który wyruszył na wojnę z wrogami Izraela. Bóg powiedział mu, aby wziął ze sobą tylko tych żołnierzy, którzy chłęptali wodę z rzeki swoimi językami „tak jak chłępcze

pies” — to znaczy tych, którzy byli gotowi przyjąć skrajne upokorzenie.

Kiedy pojawił się następny posiłek, wychleptałam go.

Później Elena pokazała mi, jak można odciąć kawałek drewna i fragmentem rozbitej szyby wyźłobić go tak, żeby powstało coś przypominającego łyżkę.

Pewna kobieta z więzienia Mislea powiedziała, że karmiące matki i kobiety w ciąży otrzymywały tam dodatkową rację żywnościową.

— Ale potem się to skończyło.

— Co się stało?

— Połowa kobiet natychmiast powiedziała, że jest w ciąży, a pozostałe były zazdrosne i robiły sceny.

Żadna z nas nie była na tyle gruba, żeby uchodzić za kobietę w ciąży, choć niektóre zaczynały puchnąć z głodu. Dopiero później dowiedziałyśmy się, że głodzenie było oficjalną polityką. Dzięki niemu byłyśmy apatyczne i przez to sprawiałyśmy mniej kłopotów. A kiedy potem chcieli ludzi do obozów pracy, myśl o lepszym jedzeniu czyniła z nas zapalonych „ochotników”.

Zwykle gromadziłyśmy się wokół pryczy zakonnicek.

— Wykorzystaj swoje doświadczenia z pracy w stowarzyszeniu na rzecz kobiet — uchroni nas przed tymi ciągłymi sprzeczkami — powiedziała pani Stupineanu, najbliższa sojuszniczka Eleny.

Była to wysoka, dostojna kobieta. Została wdową i była dosyć dobrze sytuowana. Dopóki nie nastał komunizm. Potem, utraciwszy wszystko, zarabiała na życie, sprzedając świece i sprząając kościół, którego była kiedyś szczerą patronką. Opowiedziała nam dziwną historię.

Pewnego poranka, kiedy stała przy swoim stole ze świecami, zobaczyła jakiegoś nieznajomego. Przeżegnał się nie od prawej do lewej jak prawosławni, lecz po katolicku od lewej do prawej. Kupił świece, ale najwyraźniej słabo znał rumuński. Okazało się, że jest studentem seminarium z Francji, podróżującym po Europie. Jakże był przygnębiony prześladowaniami Kościoła, których był świadkiem!

Pani Stupineanu posłużyła się swoim francuskim i powiedziała mu więcej. Bo przecież dokładnie w tym kościele przed tym ołtarzem oprychy z milicji ohydnie sponiewierały księdza!

Następnego dnia pani Stupineanu została aresztowana. Francuz był agentem komunistycznym. Przedstawiono jej do wyboru

dwie możliwości: albo będzie informować służbę bezpieczeństwa o osobach chodzących do kościoła — kim są i co mówią — albo pójdzie do więzienia.

— Jestem w Jilavie już prawie rok — powiedziała.

Miała czterdzieści sześć lat i zupełnie siwe włosy.

Były tam też dwie siostry katolickie, emanujące spokojem i dobrocią. Bez słowa skargi doglądały starszych kobiet. Obmywały obolałe ciała. Śpiewały pieśni. Niosły pokrzepienie tam, gdzie nie było już żadnej nadziei.

— Ale czy wolno wam śpiewać? — zapytałam na naszym pierwszym spotkaniu.

— Wolno nam śpiewać, a im wolno nas bić — odparła siostra Weronika.

Siostra Zofia, młodsza z nich, pokazała świeże sińce na swoich ramionach i szyi.

— Śpiewaliśmy bardzo cicho, ale ktoś doniósł na nas. Wpadli tutaj i zaczęli nas kopać, bić i policzkować. Później sierżant Aspra zakazała wszelkich rozmów. Ale nie sposób zmusić pięćdziesiąt kobiet do milczenia!

Zofia grała na organach w kościołach i prowadziła nas w śpiewie. Niektóre kobiety znały pieśni napisane dla Armii Pana, ruchu wywodzącego się z terenów wiejskich, zbliżonego charakterem do Armii Zbawienia.

Większość więźniarek była z Kościoła prawosławnego. Nie umiejące czytać ani pisać kobiety ze wsi straszliwie bały się umrzeć bez ostatniego namaszczenia, dokonanego przez popa. Wierzyły, że stałyby się duchami, które nie będą mogły wejść do nieba. Zakonnice wypowiadały więc formuły z nabożeństwa żałobnego i chociaż kobiety te nie były do końca pewne, czy to zadziała, było to lepsze niż nic.

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie — śpiewnie recytowały zakonnice. — Niech odpoczywa na zielonych pastwiskach.

Zielone pastwiska. Byłyśmy pod ziemią. Nad naszymi celami rosła trawa. Pały się tam krowy. Jakże muszą być szczęśliwe, będąc na słońcu i mając mnóstwo jedzenia!

Wśród zakonnice w Jilavie były matki przełożone, nowicjuszki i siostry świeckie, które zajmowały się pomocą potrzebującym. Osiemnastoletnie dziewczęta i sześćdziesięcioletnie kobiety. Kiedy rząd zdelegalizował Kościół grecko-katolicki, mnisi, księża i za-

konnice, którzy nie zgodzili się na przyłączenie do Kościoła prawosławnego (kontrolowanego przez komunistów), zostali uwięzieni. W więzieniach spotkali się ze swoimi braćmi z Kościoła rzymsko-katolickiego.

Zastępcą sierżant Aspry była kapral Georgescu, nieciekawa, tępa dziewczyna z płaską twarzą i beznamiętnym głosem. Zabierała więźniarki na ćwiczenia.

— Kiedy mówię wyłazić na zewnątrz, to żadna nie ma być ostatnia. Wszystkie wychodźcie naraz!

Pięćdziesiąt kobiet nie może równocześnie przejść przez jedne drzwi. Ale nie można też sprzeczać się z Georgescu.

— Kiedy wydaję rozkaz, musicie być posłuszne — wycedziła przez zęby.

Kobiety chichotały za jej plecami, imitując ją, jak mówi przez nos, i w końcu dosłownie dusiły się ze śmiechu. Ale gdy zaczynała wrzeszczeć, wybiegały co sił z celi. Stare i schorowane zawsze były przez nią bite, jako że były ostatnie w tym pędzie do drzwi.

— Czy nie znasz litości? — zawołałam. — Jest napisane, że tym, którzy nie okazują litości, Bóg nie okaże litości.

— Nie, nie znam — zaskrzeczała. — I nie chcę znać.

Ale nawet Georgescu miała słaby punkt. Chociaż przez cały mój pobyt w celi numer 4 nie udzielała nikomu pozwolenia na leczenie, to jednak kobietom, które bolały zęby, pozwalała na wizytę u dentysty.

Ona również cierpiała z powodu bólu zębów. Sama dobrze wiedziała, jak to jest.

Jakże drętwe były te strażniczki!

Przywykłam do ludzi, którzy kochali, nienawidzili, reagowali w jakiś ludzki sposób. Ale te dziewczyny w mundurach zostały zamienione w marionetki. Jeśli był rozkaz, żeby bić, to biły. Równie dobrze mogłybyśmy być dywanami. A jeśli był rozkaz, żeby zwolnić tempo, ignorowały nas. Przeszły przez szkoły służby bezpieczeństwa, w których wymagane było ślepe posłuszeństwo. Większość z nich pochodziła ze wsi i nigdy nie miała czegoś równie eleganckiego, jak ich mundury, ani tak drogich zabawek, jak ich pistolety. Rządziły Rumunią i Rumunia była ich światem.

Dyktatura proletariatu była w ich wykonaniu skierowana głównie przeciwko nauczycielkom, żonom profesorów i innym

osobom ze świata kultury. Nie wpływało to jedynie z urazy żywionej przez niewykształcone masy. Zostały poddane indoktrynacji i wpojono im przekonanie, że „burżuazyjni intelektualiści” zagrażają rozwojowi światowego komunizmu. Nadal wierzyły w partię i jej obietnice.

Patrząc na Sandę, można by pomyśleć, że jest jedną z najbardziej trzeźwo myślących osób w celi. Była młoda, wysoka, miała wyraziste oczy i długie ciemne włosy. Powiedziała mi, że na miesiąc przed aresztowaniem ukończyła studia techniczne. Jej delikatny głos jakby muskał powierzchnię różnych spraw. Nigdy nie było wiadomo, na czym następnie się zatrzyma. Została aresztowana z powodu swojego brata, który należał do partyzantów pułkownika Arsenescu, walczących w górach. Niektóre jej wypowiedzi z uniwersytetu zostały przekazane służbie bezpieczeństwa.

Czasami kiedy rozmawialiśmy, jej wzrok stawał się przerażająco otepiały. Głos zamierał jej w pół słowa. Widziałam to już wcześniej u więźniów i zaniepokoiłam się.

Pewnego wieczoru prycze wokół Sandy opustoszały.

Jakaś kobieta wgramoliła się do mnie na górny poziom.

— Proszę, pozwól mi posiedzieć tutaj z tobą — błagała. — Sanda zachowuje się tak dziwnie. Myślę, że znowu będzie miała jeden ze swoich ataków.

Poszłam do Sandy, żeby się jej przyjrzeć. Łzy spływały po jej twarzy w sposób zupełnie niekontrolowany. Jej długie palce wykręcały nerwowo kosmyk włosów.

Nagle zawołała:

— Nie wiem, nie pamiętam, nigdy w życiu go wcześniej nie widziałam...

Viorica nadbiegła przejściem między pryczami.

— Co za pech! — zajęczała. — Dlaczego jej nie zabiorą? Jakbym nie miała wystarczająco dużo na głowie.

Kobiety żegnały się w panice.

Sanda oddychała ciężko — twarz jej poczerwieniała. Po czym z przenikliwym skowytym, jakby zwierzęcia, którego noga uwięzła w sidłach, wyskoczyła z łóżka. Wymachiwała rękami. Jej czarne włosy rozwiewały się. Uderzała w każdego, kogo napotkała na swojej drodze. Chwyciła stos brudnych misek leżących na parapecie i cisnęła nimi w stronę głowy Viorici. Nie trafiła i miski walnęły w drzwi.

Głowy schowały się pod kocami. Wrzaski i rozpaczliwy płacz napełniły całe pomieszczenie.

Dwie dziewczyny mocowały się z Sandą. Przepychały się tam i z powrotem w wąskim przejściu. Viorica wrzeszczała, udzielając bezużytecznych porad.

— Chwyćcie ją, podetnijcie jej nogi! O Boże, o Boże!

Zdawało się, jakby wtargnął tam legion niewidzialnych demonów.

W końcu siostra Weronika, która zachowała przytomność umysłu, zarzuciła od tyłu koc na głowę Sandy. Zwały się na podłogę. Dwie dziewczyny trzymały Sandę. Przestała się wić. Uspokoila się. Przeniosły ją na pryczę, nieprzytomną, w podartym ubraniu i mokrą od potu.

To, co wydarzyło się później, przyprawiło mnie o dreszcze.

Z drugiego końca celi dobiegł męski głos.

Zimny, opanowany głos przesłuchującego. Zadający pytania. Te same pytania. Na okrągło.

Trzęsąc się, poszłam na drugi koniec celi. Błada młoda dziewczyna leżała skulona z kolanami przyciśniętymi do piersi i była sparaliżowana ze strachu.

Zaczęła udzielać odpowiedzi swoim własnym głosem:

— Nie wiem, nie byłam tam.

Potem krzyki:

— Proszę, nie bij mnie! Proszę, nie. PROSZĘ. Aaaaach!

Miała otwarte oczy. W straszliwym transie przeżywała ponownie przesłuchanie, które przeszła w celi służby bezpieczeństwa. Z grozą i mechaniczną dokładnością imitowała niski głos przesłuchującego i dysząc, odpowiadała litaniją „nie wiem”. Wydawała też odgłosy przypominające dławienie się i krztuszenie, jakby w wyniku bólu zadawanego podczas tortur.

Był to dopiero początek.

Przez całą godzinę celę napełniała przeraźliwa kakofonia krzyków i łkań. Kolejne kobiety rozklejały się. Zdawało się, jakby jakaś zła siła otoczyła nas w cuchnącej ciemności. Jedyne żarówka rzucała szaleńcze cienie na półkoliste sklepienie.

Początkowo byłam zupełnie oniemiała i zaszokowana.

Potem poczułam, jak coś nabrzmiewa w moim sercu niczym żelazo rozgrzewane do czerwoności w ogniu i sama zaczęłam na

nowo przeżywać swoje przesłuchanie. Noce strachu, niepokój o to, co robią z Richardem, co dzieje się z Mihaiem.

Modliłam się, żeby nie zwariować. Nie robiłam tego świadomie, ale pozwalałam słowom, by płynęły jak strumień. Zakonnice robiły to samo.

Kobiety tłoczyły się wokół naszych prycz, jakby było to jedyne bezpieczne miejsce w piekle. Więźniarki wciskały się blisko mnie, ściskając kurczowo moje dłonie; zupełnie jakby uciekały z jakiegoś potwornego pogromu.

Strażniczki były już wcześniej świadkami takich tragicznych scen. Trzymały się z daleka.

Sanda, która podpaliła lont, spała i niczego nie słyszała.

Odgłosy szlochania zaczęły cichnąć. Po godzinie tylko sapnięcia wyczerpanych kobiet dochodzące z ciemności zakłócały ciszę. Uczucie strachu ustąpiło.

Leżałam jeszcze długo i modliłam się w duchu:

— Panie, skoro sprawiłeś, że mam jakiś wpływ na te kobiety, to obdarz mnie także mądrością serca, abym mogła pozyskać ich dusze dla Ciebie.

Na zewnątrz w długim korytarzu kroki strażniczki oddalały się, stając się coraz słabiej słyszalne, i gdzieś w odległej części więzienia wielkie drzwi zamknęły się z głuchym hukiem. Wydawało mi się, że słyszę kobietę kaszlącą w innej celi. Różne ciche, stłumione odgłosy niosły się echem po ogromnym labiryncie Jilavy, w którym trzy tysiące dusz usiłowało zasnąć i zapomnieć.

Następnego poranka stanęłam twarzą w twarz z Elsą Gavrioliu, starą członkinią partii. Chodziły słuchy, że jest była oficer służby bezpieczeństwa, która wypadła z łask. Wiele ofiar czystek przeprowadzanych w partii trafiało obecnie do więzień.

Elsa wystawiła swoją wielką szczękę w moją stronę.

— Zaczynj znowu głosić tutaj te swoje kazania, a zacznę łomotać w drzwi, dopóki nie przyjdzie strażniczka.

— Elso, czy nadal wierzysz w partię? — zapytałam.

— Oczywiście. Nie zmieniłam swoich przekonań. Moje aresztowanie było całkowitą pomyłką.

— Moje aresztowanie również nie zmieniło mojej wiary. W rzeczywistości jest jeszcze mocniejsza. Chcę mówić ludziom, jakiego przyjaciela mają w Jezusie.

— Cała ceka zostanie przez ciebie ukarana. Nie mam zamiaru cierpieć za ciebie i twojego Boga. A poza tym to i tak za bardzo ci nie pomogł.

— Ten Bóg, którego tak nie znosisz — zastanawiałam się na głos — jakiego rodzaju istotą On jest? Jeśli mówisz: „Nie lubię Jacka”, to dlatego, że wiesz, jaki ma on charakter. Jakie jest twoje wyobrażenie Boga?

— Ha!

Z wyraźną przyjemnością skorzystała z okazji, by udzielić książkowej odpowiedzi. Bóg jest więc fanatykiem, który nie pozwala nauce mówić prawdy. Jest patronem wyzyskiwaczy proletariatu. Za pieniądze, które wyciskają z biednych, budują dla Niego kościoły. Błogosławi On broń używaną przez obydwie strony konfliktów zbrojnych.

— To, co nazywasz Bogiem, jest bez wątpienia bardzo niemiłe — powiedziałam. — Bóg, którego ja kocham, jest inny. Dzielił On biedę robotników. Wychowywał się wśród uciskanych. Karmił głodnych i uzdrawiał chorych. Uczy miłości. Umarł za nas...

— Miłość! — jej głos załamał się. — Jaki z niej pożytek? Przynajmniej dla mnie. Mówię ci, cała jestem nienawiścią! Gdybyś wiedziała, jak bardzo nienawidzę tych zdradzieckich towarzyszy, którzy mnie tutaj wsadzili. Chciałabym, żeby poszli do piekła! Całe swoje życie oddałam partii i oto co mi zrobili.

Pochyliła głowę. W kątku jej oka zakręciła się łza. Nie wyglądało na to, żebym mogła jeszcze cokolwiek zrobić w tej chwili.

— Modlić się? Przebaczyć im, Ojczy? — syknęła. — Nie uznaję przebaczenia, to wszystko kłamstwa.

Zaczęła płakać.

— Wszystko jedno — szlochała. — Jeśli przyjdą Jankesi, zostaną powieszona. Jeśli komuniści zostaną, będę siedzieć w więzieniu. Przebaczenie!

Łzy lały się strumieniami. Po chwili usiadła i końcem spódnicy wytarła swoją szarą twarz. Po czym zaczęła mi się przyglądać badawczym wzrokiem.

— Sabino Wurmbrand, jesteś przebiegła. Każę ci przestać głosić kazania, a po pięciu minutach głosisz kazanie do mnie.

Ale tym razem pani Gavriloiu nie groziła, że wezwie strażniczkę.

Teraz wszyscy w celi numer 4 mnie znali. Kobiety przychodziły do mnie na lekcje francuskiego i niemieckiego.

— Wszystkie lekcje pani Wurmbrand rozpoczynają się od słów *Dieu* lub *Gott* — śmiała się Fanny Marinescu, moja najlepsza uczennica.

Niektóre przychodziły do mnie dla zabicia czasu. Inne uważały, że przyda im się to, kiedy zostaną uwolnione. W Bukareszcie pełnym wojsk alianckich tłumacze będą bardzo poszukiwani.

Fanny miała dwadzieścia pięć lat, krótko przycięte włosy i duże okrągłe oczy. Była cicha i nieśmiała. Jej mąż i matka też byli w więzieniu.

Po raz pierwszy rozmawialiśmy ze sobą na dziedzińcu po porannym przeliczeniu więźniów. Sierżant Aspra i jej pomocnice wykrzykiwały notowania niczym bukmacherzy.

— Spójrz, żdźbło trawy — wyszeptła. — Że też upodobało mu się rosnąć właśnie tu.

— Jakże potężną siłą jest życie!

Przyłożyła trawę do ust.

Stałyśmy się bliskimi przyjaciółkami. Nasze lekcje francuskiego były prowadzone w ten sposób, że pisałyśmy na podszwach butów posmarowanych mydłem. Do Jilavy nie dostarczano niczego. Ani papieru, ani ubrań, ani bielizny, ani paczek z domu. Ale od czasu do czasu rzucano DDT. Jeśli roztańło się je na namydlonej podeszwie, to można było dosyć wyraźnie pisać na niej drzazgą.

Czasami musiałyśmy przerywać lekcję, ponieważ chwycił ją ból.

— Nie wiem, co to jest — z trudem łąpała powietrze. — Przychodzi falami.

Ale wizyta u lekarza była praktycznie niemożliwa. Czasem po długiej przerwie mogła pojawić się sanitariuszka. Chore kobiety tłoczyły się wokół niej, krzycząc i błagając o pomoc i lekarstwa. Sanitariuszka zezwalała, aby trzy lub cztery „pilne przypadki” — te, które sprawiały najwięcej kłopotów — udały się do izby chorych.

Leczenie przybierało dwie formy: węgiel na biegunkę; aspiryna na wszystko inne.

Jakiś czas potem Fanny Marinescu zemdlła. Wyniesiono ją na kocu. Po kilku dniach wróciła: lekarz stwierdził gruźlicę jelitową.

— Obiecali, że zrobią mi operację — wyszeptła, uśmiechając się blade.

Po kilku tygodniach Fanny została przeniesiona do szpitala więziennego, gdzie zmarła.

Okazało się, że nie była chora na gruźlicę, tylko na raka.

Później w obozie pracy spotkałam matkę Fanny Marinescu i musiałam przekazać jej wiadomość o tej tragedii.

Po drugiej stronie przejścia na pryczy znajdującej się naprzeciwko mojej była pani Ioanid. Jej syn był w górach w oddziałach ruchu oporu pułkownika Arsenecu. Jej dwie córki były również w więzieniu — jedna w Mislei, a druga z nami w Jilavie, ale w przyległej celi.

Przez maleńką dziurkę, którą wydrapała w zamalowanym oknie, zobaczyła swoją córkę, chodzącą po dziedzińcu więziennym. Każdy przyłapany blisko tej dziurki był natychmiast karany. Ale sześćdziesięcioletnia pani Ioanid była gotowa podjąć wszelkie ryzyko, żeby choć przez chwilę spojrzeć na swoje najmłodsze dziecko. Gdy tak patrzyła, łzy spływały jej po twarzy.

Czasami z ogromnym trudem wdrapywała się na moją pryczę i opowiadała o swoim mężu i dzieciach. Pytała o Richarda, który był znany wielu więźniom z imienia. Jak spotkaliśmy się? Czy zawsze był pastorem? Żyd nawrócony na chrześcijaństwo? Czy to nie rzadkość?

— To długa historia — powiedziałam. — I smutna, czasami bolesna, ale też radosna.

Aż do tej pory nie pozwalałam sobie na sięganie pamięcią daleko wstecz. Ale pani Ioanid słuchała tak cichutko, siedząc w bladym świetle, które rzucało cień na jej pomarszczoną twarz, że wydawało mi się niemalże, jakbym mówiła do samej siebie.

Od czasu do czasu mruknęła: „Tak?“, albo westchnęła ze zdziwienia nad tą, z czym muszę się zgodzić, dziwną historią.